

Obrazy z Malty. I wielki finał

Spektakl „Ksenofonia. Symfonia dla Innego”, przygotowany z okazji obchodów Poznańskiego Czerwca 1956 r., zakończy dziś festiwal Malta.

Na placu Mickiewicza organizatorzy spodziewają się nawet 25 tys. widzów!

STANISŁAW GODLEWSKI

Spektakl w reżyserii Jana Komasy - oparty na materiałach archiwalnych, z choreografią Mikołaja Mikołajczyka i z muzyką zespołu Kwadrofonik - oglądać będziemy, nie tylko stojąc wokół sceny. Widowisko podglądać będą z wielu perspektyw zdalnie sterowane kamery. Zarejestrowane obrazy pojawią się na kilku telebimach, ustawionych na pl. Mickiewicza.

Ci, którzy na plac nie dotrą, będą mogli obejrzeć „Ksenofonię” na żywo na YouTube z wybranej przez siebie kamery. Rejestracja - w streamingu na stronie Malta Festival Poznań na Facebooku.

O godz. 22.20 rozpocznie się transmisja na żywo w TVP 2.

Tylko ładne obrazki?

„Ksenofonia” to z pewnością najgłośniejszy spektakl kończącej się dziś Malty. Ale jednym z najbardziej oczekiwanych przedstawień były też „Orchidee” Pippo Delbono. Wypowiedź skrajnie osobista, oparta na prywatnych wspomnieniach, ulubionych motywach i cytatach reżysera. To przedstawienie z pewnością zostawi poznańskich widzów ze skrajnymi opiniami.

Włoski reżyser stworzył spektakl teoretycznie wyjątkowo osobisty. Scenografia to właściwie pusta scena i duży ekran do wyświetlania projekcji. Sam Pippo Delbono prowadzi narrację, pojawiają się jego prywatne zdjęcia, ulubione piosenki.

Ta opowieść, początkowo zupełnie nieskładna, staje się serią pięknych obrazów scenicznych. Delbono doskonale wie, jak je komponować. Wie również, jak wykorzysta samego siebie na scenie - trochę nieporadnie zatańczy, by później samotnie, w cieniu ogromnego ekranu, ustawić się dokładnie w centrum sceny i sprawiać wrażenie osamotnionego w tym „wielkim teatrze świata”.

Niemal wszystko ma tutaj na celu wywołanie silnego przeżycia, wzruszenia. Problem jest jeden - w takim natężeniu to czasem nie działa. Dla mnie w wielu momentach było nudzące i irytujące. Spektakl wydawał mi się tak „wsobny”, że naprawdę trudno było mi się nim przejąć, chociaż naprawdę, starałem się. Być może rację miał ten krytyk, który zarzucił włoskiemu reżyserowi, że jego spektakle mają za dużo finałów (ten pogląd jest cytowany w spektaklu). Faktycznie, ma się wrażenie, że każda kolejna sekwencja to już wielki finał, który doprowadzi do ostatecznego oczyszczenia. Ale potem następuje inny finał i jeszcze jeden, i jeszcze...

W spektaklu „Orchidee” na ekranie pojawiają się nagrania umierającej matki reżysera. Delbono zarejestrował proces jej odchodzenia, po czym włączył fragmenty z tego materiału do przedstawienia.

Tutaj też mam problem - nie z oceną etyczną tego gestu, lecz z tym, w jaki sposób te nagrania zostały wykorzystane. Wspomnienia o matce to nie punkty kulminacyjne przedstawienia, przeciwnie - Delbono wykorzystuje je nagrania dokładnie tak samo jak inne obrazy, podkłada muzykę, opatruje stosownym cytatem z „Hamleta”. Robi się trochę smutno, ale potem znów można potać się. Trochę nie chcę wierzyć, że tak lekko można było obejść się z takimi nagraniami.

Paradoksalnie, może to jest właśnie zaleta tego spektaklu - wszystkie osobiste elementy są tak naprawdę perfekcyjnie skomponowane i do faktycznych prywatnych uczuć i emocji reżysera my jako widzowie nie mamy dostępu. Seria ładnych obrazów to jedynie seria ładnych obrazów, sprawiająca jedynie wrażenie autentycznych, bolesnych i jędrzących emocji. Ale w takim razie pozostaje spytać: po co to wszystko?

Wyprowadzeni w pole

Ważnym głosem tegorocznego festiwalu był spektakl „Wasteland” Lotte van den Berg - holenderskiej artystki i kuratorki tegorocznego maltańskiego idiomu „Paradoks widza”. Na placu Wolności pokazała w tym roku cykl swoich spektakli, budowanych razem z widzami. Stąd tytuł projektu - „Building conversations”.

Spektakl „Wasteland” inspirowany jest „Hańbą” J. M. Coetzee. Z powieści noblisty zostało jedynie irracjonalne okrucieństwo, które rządzi ludźmi i którego właściwie nie sposób wytłumaczyć.

Ale po kolei - poznańskie spektakle zaczynały się przy moście Jordana, skąd następował długi spacer na bardzo ładne rozlewiska. Podczas spektaklu, w którym brałem udział, po przedarciu się przez wysokie trawy, różnego rodzaju chwasty, jak już oblażło nas wszelkie możliwe robactwo, dotarliśmy na zieloną łąkę oświetloną zachodzącym słońcem. Tam zastaliśmy dwa rzędy siedzeń dla widzów i butelki wody, jakby komuś zrobiło się słabo od czerwcowego słońca. „Jest pięknie” - pomyślałem. Ptaki śpiewają, cykady grają, wiatr szumi w koronach drzew. Żadna „ziemia jałowa” (tytuł spektaklu nawiązuje do słynnego wiersza Eliota), raczej bujna i obfita przyroda. W odległości kilkudziesięciu metrów z różnych miejsc zaczęły wylaniać się postaci - nic nie mówiły, tylko chodziły przygarbione albo siadały wśród traw.

Nagle zaczęły się sceny zupełnie inne: można było zobaczyć, jak mężczyzna gwałci kobietę, ktoś kogoś zabija, ktoś popełnia samobójstwo. Wszystkiemu przyglądała się obserwator, która ewidentnie nie należała do społeczności „z buszu” - była lepiej ubrana i uczesana. Przygląda-



W ramach działań „Obstacle - Sculpting Fear” sceną stało się miasto

ła się, początkowo nie rozumiejąc, następnie próbując przełamać ciąg okrucieństwa czułością i ofiarą z samej siebie. Nie udało się. Jak w klasycznej tragedii niemal wszyscy zginęli.

W tekście programowym do idiomu Malty, Lotte van den Berg napisała o „paradoksie bycia daleko i blisko jednocześnie”, o tym, że oglądając coś, nie możemy dostrzec wszystkiego i choć byśmy chcieli, to nie możemy w pełni aktywnie działać.

Jakoś nie chce mi się wierzyć, by ktokolwiek z widzów, siedząc na specjalnie przygotowanej widowni, uwierzył, że to, co dzieje się przed nim, jest prawdziwe i wymaga interwen-

Spektakl Jana Komasy oglądać będziemy także za pośrednictwem nowych technologii

cji. Przeciwnie - przysłiśmy na spektakl biletowany, siedzieliśmy grzecznie i oglądaliśmy coś, co van den Berg i Campagne Dakar przygotowali. A przygotowali spektakl o tym, że ta natura ludzka jest tak okropna, że aż strach wyjść na spacer.

Lotte van den Berg wyprowadziła nas w pole podwójnie - nie tylko zabrała nas na krajoznawczą wycieczkę po terenach zielonych Poznania, lecz także obnażyła fakt braku paradoksu widza. Może twórcy teatralni, zamiast na siłę próbować emancypować widza i wzmawiać mu bierność, której oni - wielcy artyści i działacze - chcą przeciwdziałać, powinni przestać udawać, że to robią?

Wielkie słowa - o władzy spojrzenia, granicy widzialnego i niewidzialnego, afektywnym doświadczeniu, które jest blokowane przez tradycyjny teatr - stają się sloganami. I nie wystarczy tradycyjny teatr, tylko że nad rozlewiskiem, aby to zmienić.

Wierzę głęboko, że teatr, nawet ten z klasycznym podziałem na scenę i widownię, może powiedzieć coś ważnego o współczesnym świecie, coś, z czym można się kłócić i mocno przeżyć. I nie trzeba dodawać do tego dodatkowej, fałszywej ramy.

Gniewne Ósemki

Na tegorocznej Malcie swój najnowszy spektakl zaprezentował Teatr Ósmego Dnia. Na dziedzińcu Urzę-

du Miasta poznański zespół pokazał w niedzielę widowisko „Gniew” dotyczące Poznańskiego Czerwca. Niestety, spektakl trochę rozczarowuje.

Zaczyna się od znanych, PRL-owskich kronik filmowych. Andrzej Łapicki czyta o kolejnych wspaniałych projektach władzy, budowaniu wielkich osiedli mieszkaniowych, a na ekranie widać czarno-białe migawki z minionej epoki. Te fragmenty nie służą jedynie wywołaniu rozbawienia czy nawet jakiegoś rodzaju nostalgii, lecz wywołaniu w widzach uczucia gniewu. Chwilę później lektor (Wojciech Biedak) relacjonuje wydarzenia w Poznaniu, które doprowadzają do strajku. Na scenie aktorzy odgrywają robotników i co jakiś czas wykrzykują hasła zagrzewające do strajku. Tymczasem na ekranie widać już tylko świetne wideo-animacje Szymona Felkela, w których materiały archiwalne mieszają się z wygenerowanymi cyfrowo obrazami ludzi, maszyn, czołgów. Podniosła muzyka Arnolda Dąbrowskiego potęguje napięcie. Sam przebieg 28 czerwca 1956 r. relacjonowany jest przez głosy odczytujące notatki funkcjonariuszy UB. Na jeżdżącej platformie widać Adama Borowskiego, Tadeusza Janiszewskiego i Marcina Kęszyckiego w szarych garniturach i prochowcach, jak lornetkami lustrują widzów. Obok nich, na innej mobilnej platformie robotnicy z transparentami. Wszystko odegrane zostaje z rozmachem, efektownie, a podawane informacje są dokładne.

Niestety, zespół Ósemek pokusił się o to, by refleksję na temat tamtego protestu połączyć z tym, co dzieje się teraz. Dlatego w pewnym momencie z ekranu spadają białe pokrowce i na tle animowanych postaci czerwcowych bojowników o godne płace i chleb, widać młodych aktorów, ubranych we współczesne stroje sportowe, którzy na bieżniach uprawiają jogging. „Gdzie wasz bunt?” - zdaje się pytać Teatr Ósmego Dnia - „Gdzie wasza wrażliwość społeczna?”. Zderzenie współczesnych młodych, którzy zajmują się wyłącznie kultem ciała i niczym chomiki w kołowrotku biegną ku własnej karierze z figurami tamtych bohaterów, jest dość porażające.

Twórcy spektaklu z racji wieku mają prawo wypominać młodym gnuśność i brak zainteresowania sprawami politycznymi. Tyle tylko, że to nie do końca prawda - wśród widzów było wielu młodych, również na róż-

norakich marszach można dziś zobaczyć sporo ludzi w różnym wieku.

Teatr Ósmego Dnia podsuwa na koniec proste rozwiązanie - biegacze ubierają się w stroje robotnicze i kontynuują ćwiczenia na bieżni, choć oczywiście, teraz ma to być chyba bieg po wolność i równość społeczną.

W finale słychać głos Ewy Wójciak, która woła: „Synkowie, córeczki, niech wzrasta w was gniew na niesprawiedliwość, ale nie dajcie się zabić! Synkowie i córeczki, nikt nie jest wart kropli waszej krwi!”.

„Gniew” Teatru Ósmego Dnia, choć słuszny i szlachetny, staje się w ostateczności moralizatorski i dydaktyczny, a efektowna forma spektaklu, przez finałowe sceny, znika na dalszym planie.

Warto przypominać o Czerwcu, warto wyciągać z dawnych wydarzeń wnioski dla współczesności. Ale może nie w sposób tak prosty i plakatuowy? Uproszczenia wspomagają jedynie manipulację i zaostrażają podziały, które stają się dziś coraz bardziej niebezpieczne.

Jaka piękna katastrofa

Niektórzy poznaniacy mogli się dziwić, gdy w kilku punktach centrum miasta w piątek i sobotę natykali się na ludzi leżących na ulicach. Była to jedna z części instalacji Juliana Hetzela o tytule „Obstacle”. Ten projekt, badający reakcje mieszkańców na niecodzienne zjawiska, był częścią spektaklu „Sculpting fear” prezentowanego w ramach Malty w CK Zamek.

Hetzel posadził na biurowych, obrotowych krzesłach trójkę performerów, którzy dosyć szybko z tych krzesel spadali - leżeli niemal tak jak performerzy na ulicach miasta. Elektryczna, głęboka muzyka (Natalia Dominguez Rangel) wzmacniała niepokojący nastrój, a jednocześnie stwarzała klimat rodem z filmów science fiction. Mechaniczne dźwięki przypominały odgłosy ze statku kosmicznego. Chwilę później na scenę wjechały dwa uroczyste roboty sprzątające, które zajęły się odkurzeniem sceny oraz rozmową na temat zawodowego wypalenia. Dosyć szybko roboty zniknęły za sprawą innego performerera, zaś leżąca trójka inicjowała kolejne działania.

Opisywanie przebiegu tego spektaklu nie ma sensu - dość powiedzieć, że składał się on z hipnotyzujących obrazów, w których kolor światła, przestrzeń i efekty dźwiękowe tworzyły piękny pejzaż dla niespiesznych działań aktorów. Hetzel stworzył futurystyczną wizję przyszłości, w której człowiek jest kompletnie oddzielony od natury, a jednocześnie maksymalnie związany z maszynami i przedmiotami, które stają się przedłużeniem jego ciała. Dźwięki i wywoływane efekty (dym, wiatr) przypominały katastrofy meteorologiczne, nad którymi ludzie nie potrafią zapanować, choć po części sami je wywołują. Spektakl stał się niespieszną podróżą w wyobrażoną przyszłość, w której stan zagrożenia jest czymś naturalnym i zarazem estetycznie zachwycającym.

Mimo wszystko, „Sculpting fear” rozczarowuje - trudno właściwie zgadnąć, jaki był sens części działań i dlaczego przedstawienie, które miało podejmować ważne tematy, zmienia się w serię pięknych, czasem pustych obrazów. ●